№ 3.

Warszawa, dnia 17 Stycznia 1863 r. 5 Stycznia.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować**— *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Francja w ogóle słynie z porządku i cudownie pomyślanego urządzenia domów przytułku, ochronek i żłobków dla dzieci. Paryż szczególniéj może w tym względzie służyć za wzór dla wszystkich miast na całéj kuli ziemskiéj. Byłem w tych dniach obecnym na bardzo miłéj uroczystości w jednéj z ochronek dla dzieci na przedmieściu świętego Antoniego. Ochronka ta jest wzorową; składa się ze trzech sal: w największéj z nich mieszczą się kolebeczki, jedna obok drugiéj ustawione, dwie inne przeznaczone są, jedna na kuchnię, a druga na skład bielizny. Sale te utrzymane są w wielkim porządku pod względem czystości i powietrza. Administracja ochronki pobiera 20 centymów, to jest piątą część franka, od rodziców, za wszelkie starania nad dzieckiem, a nawet daje bieliznę, w razie, kiedy matka dać jéj nie ma możności. Jeżeli rodzice są w stanie wielkiego niedostatku, i nie mogą uiścić codziennéj opłaty, administracja odkłada ją zwykle na czas późniejszy, a w końcu przestaje na wypłacie części ogółu należności, albo i zupełnie rodzicom w stanie nędzy ją odstępuje.

Na téj uroczystości założyciel ochronki, pan Desplaces, przemówił prosto, ale umiejętnie i czule, wystawiając wpływ moralny i materjalny téj instytucji, którą nazwał *normalną szkołą macierzyństwa* (école normale de maternité). Instytucja ochronek, która wzięła początek we Francji, rozpowszechniła się dziś mniéj więcéj w całéj Europie, z wyjątkiem jednéj Anglji. Kraj ten, który wyprzedził wszystkie inne w cywilizacji materjalnéj, czyli przemyśle, jest podobno najwsteczniejszym, kiedy idzie o cywilizację moralną i chrześcijańską, miłość bliźniego. W jedném z hrabstw angielskich, w Nottingham, zarządzono niedawno śledztwo względem niezwykłéj śmiertelności dzieci. Jeden z radców miejskich, należących do kommissji śledczéj, oznajmił, że corocznie sprzedawał 400 galonów laudanum (około 2,000 garncy), z których połowę większą zużyto dla dzieci. Tę ogromną ilość najstraszliwszéj trucizny spotrzebowano w Nottingham, dla uśpienia dzieci, których rodzice pracować są zmuszeni!... W fabryczném mieście Manszester, narkotyczne pocje, dawane dzieciom w celu ich uśpienia, albo

zaspokojenia głodu, nazywają się *God frey's cordial.* Dziennik ochronek, *Przyjaciel Dzieci*, zapewnia, że w jednėm z najwięcėj rękodzielniczych miast południowėj Anglji, wyrobnice poją dzieci tyzanną z maku, która sztucznym a nadzwyczaj szkodliwym snem na długo je usypia. Dobre w tym względzie Francuzi mają przysłowie: *les extrêmes se touchent*; otóż Anglja, mieniąca się być państwem najwięcėj ucywilizowanym Europie, i Chiny w wiekowėm barbarzyństwie azjatyckiėm wegetujące, używają jednych i tych samych środków, kiedy idzie o zysk, korzyść lub interes. Chińczycy nawet konsekwentniėj i loiczniėj w tym względzie działają, albowiem topią dzieci jak szczenięta, które mogą im się stać mozołem w zatrudnieniach i ciężarem w interesach.

Pan Desplaces w swėj mowie najmocniėj potępia zwyczaj tak upowszechniony w Paryżu, oddawania dzieci na mamki, wspierając się na postrzeżeniu doktora Fouchut, który w swym raporcie, przedstawionym akademji umiejętności, utrzymuje, że z ogólnėj liczby dzieci powierzonych dyrekcji miejskiėj mamek w Paryżu, w pierwszych dziesięciu dniach po urodzeniu umiera 30 na 100; ilość ta przewyższa dwa razy ogólną śmiertelność dzieci w stanie normalnym. W żłobkach paryzkich w ogóle dzieci karmione są u piersi mamek pod najściślejszym dozorem przełożonych i dyrekcji za bardzo umiarkowane wynagrodzenie.

—Nowe odkrycie, na mocy którego można przepowiedzieć deszcz lub pogodę, od kilku miesięcy mocno zajmuje Francuzów. Niejaki pan Mathieu de la Drôme, dawny reprezentant narodu w Izbie konstytucyjnėj, jest wynalazcą tėj przepowiedni. Utrzymuje on, że odkrycie polega na nieomylnych danych; istnieją bowiem w atmosferze pewne znaki, biegi perjodyczne powietrza i t. d., z których tak nieomylną meteorologiczną zapowiedź pogody lub deszczu wyprowadzić można, jak przepowiedzenia astronomiczne zaćmień słońca lub księżyca, ukazania się komet, wielkiego przepływu wód w oznaczonėm miejscu morza i t. d. Wyznać należy, że razy kilka przepowiedzenie deszczu pana Mathieu de la Drôme, na kilkanaście dni naprzód sformułowane, doznały najzupełniejszego zawodu ze strony niefortunnych zrządzeń tutejszėj atmosfery; to jednak nie zraziło wytrwałego badacza w jego poszukiwaniach. Kilka razy pan Mathieu pod różnemi pozorami usiłował poddać pod zbadanie tutejszėj akademji uczonych swe odkrycie, polegające, jak mniema, na nieomylnych prawdach nauki, ale akademja za każdym razem odmówiła swego światła na rozjaśnienie badań, które uważa za niezasługujące na jėj zajęcie. Pomimo to wszystko, wynalazca zapewniony o nieomylności swego odkrycia, odwołać się postanowił do zgromadzenia ludzi uczonych wszystkich narodów w Europie. Ostatnie jego przepowiednie co do ulewnych deszczów, wezbrania rzek na kilkudziesięcio-milowėj przestrzeni południowėj strefy, zaczawszy od Marsylji, Tulonu, aż do morza Adrjatyckiego, sprawdziły się przez klęskę zbyt przykrą ale nader prawdziwą; i ta to właśnie okoliczność podniosła wagę odkrycia, które jedynie źródłem szyderstwa dla humorystycznych dzienników tutejszych stawać się poczęło. Ostatni list pana Mathieu de la Drôme, przez dzienniki paryzkie ogłoszony, ze wszech miar zasługuje na uwagę. Dlatego to przytoczę zeń najważniejsze wyjątki.

„Przyjdzie czas,—powiada pan Mathieu,—a ten czas, jeżeli uczeni wszystkich narodów tego zechcą, jest bardzo blizki, gdzie stan nieba, pogody lub deszczów dla każdėj strefy na każdy dzień, na każdą godzinę może być z największą dokładnością obrachowany i przepowiedziany. Temperatura, wiatry, deszcze, grad, śnieg, burze, uragany i inne meteorologiczne zjawiska przepowiedziane zostaną zawsze z taką pewnością, jak wschód i zachód słońca. Obecnie już ogromny krok w tym względzie mógłby być zrobiony, gdyby postrzeżenia meteorologiczne, przez kilka różnych obserwatorjów dokonane, mogły być wzięte pod egzamin i badania porównawcze, wsparte na mojėj teorji. Każde państwo powinnoby wyznaczyć dwóch zdolnych matematyków, i wysłać ich do Paryża w celu zbadania i opracowania wspólnie tego ważnego dla ludzkości dzieła. Ja przedłożę międzynarodowemu kongresowi meteorologicznemu wszystkie materjały, dotyczące tego przedmiotu, mozolnie przez lat siedem przeze mnie zebrane, i poświęcę wspólnėj pracy resztę życia, które mi zostaje. Za sześć miesięcy dzieło tak daleko posuniętėm być może, że dokumenta opracowane pozwolą go dalėj uczonym prowadzić. Na miesiąc Lipiec roku przyszłego każdy naród i kraj mógłby posiadać rocznik obrachowany i zastosowany do swėj sfery, w którym znajdzie wszelkie ważniejsze meteory niebieskie, zjawiska atmosferyczne, dokładnie oznaczone. Gdy stałe prawa, rządzące stanem nieba, ustanowione będą, dnie burz, uraganów i innych plag nieba, szkodliwych dla rolnika, oznaczone zostaną zawczasu, jak obecnie wszelkie zaćmienia ciał niebieskich; tym sposobem wiek nasz zaznaczy się jeszcze jednym, niestartym w dziejach ludzkości pomnikiem. Jeżeli moje wezwanie wzgardzonėm zostanie, obawiam się mocno, aby ludzie jeszcze przez pół wieku przynajmniėj nie zostali pozbawieni dobrodziejstwa, mogącego zdwoić produkta i płody, jakie ziemia wydaje, i oddać nieobliczone usługi sztuce że-

glarskiéj i wielu innym gatunkom przemysłu, jakiemi się ludzie zajmują. Czyż wynalazek przepowiedni meteorologicznych w naszym wieku, chlubiącym się postępem i tolerancją, wezbraném życiem przemysłu ma być skazany na los podobny parze, potępionéj przez ówczasowy areopag uczonych, a która niemniéj postać świata zmieniła?“

Nie wiem istotnie, co pomyśléć o podobném zawezwaniu, dotyczącém niezaprzeczonego dobrodziejstwa świata całego; pan Mathieu de la Drôme przemawia z takiém przekonaniem, pewnością i powagą, a przytém jest człowiekiem tak zaszczytnie znanym we Francji, że gdyby nawet mylił się i przesadzał swe odkrycia, wymowne jego wyrazy zasługują na szczególną rozwagę wszystkich rządów i wszelkich zgromadzeń naukowych.

ROZPACZ.

Boleśnie, z piętnem rozpaczy,
W zimnym, niegłodnym żyć tłumie—
Choć nawet spojrzéć kto raczy,
Pojąć drżeń pulsu nie umié.

Boleśniéj ginąć z rozpaczy!
Bo tłum o martwym rozumie,
I śmierci téj nie przebaczy,
Klnąc zbrodni, głupstwu lub dumie!

A jednak często, w rozpaczy,
Duch ludzki tak się wznieść umie,
Że potępieńca odznaczy,
W przygwizdującym go tłumie.

Jan Prusinowski.

---

* *
*

Warszawa, niegdyś bahantka i marnotrawnica, brzęcząca sankami i buchająca kłębami pary licznych przechodniów, spowitych w bufiaste niedźwiedzie, szopy, skonksy lub barany—dziś.... klapiąc się w błocie, spogląda smutnie na wiecznie zachmurzone niebo, a z zazdrością na księżyc, którego plamy, wedle ostatnich spostrzeżeń fotograficznych, mają być nie morzami, ale lasami, od stworzenia świata nieznającemi siekiery! Jakież to dla spekulanta, albo birbanta rozczulające spostrzeżenie.

O nas jednak zima nie ze wszystkiém zapomniała; przez dziesiątek bowiem coś dni mieliśmy i mróz i sannę, ale za to w Anglji do końca roku zeszłego nie pokazał się nawet jeden płatek śniegu; w Orenburgu to samo, choć już Listopad mroził 27 stopniami zimna; a w Wiedniu, w sam dzień Nowego Roku czas był prawie wiosenny, i prześliczna pogoda przy kilku stopniach ciepła, rojami spacerujących napełniła wszystkie przechadzki publiczne. Na Kaprerze znowu, grymaśna przyroda, w chwili przybycia Garibaldego, całą wyspę posypała śniegiem, nieznanym dotąd w téj afrykańskiéj strefie wiecznego lata i ciepła. Szczodrość ta zimy tak niepraktykowana, widać, że się rozciągnęła i do serc niektórych naszych większych fabrykantów, którzy w kwestji posełania rzemieślników do szkółek niedzielnych, nie tylko odmawiają wszelkiego współudziału, ale nawet tak dalece są oziębli i zlodowaciali, że stawiają temu trudności i przeszkody. Na wyrażenie z tego powodu mego oburzenia, nie umiem nawet słów znaléść stosownych.... nie dziwcie się więc, jeżeli Wam tak często mówię o szkółkach, książkach, czytelniach; bo cóż sądzić o innych miejscach, jeżeli u nas w Warszawie, w tém niby ognisku oświaty, znajdują się jeszcze tak płytkie, miałkie i krótko patrzące egzemplarze.

Z prowincji jednak nie ma dnia prawie, bez radośnéj wieści, co rozgrzewa, a nawet rozrzewnia serce. W Rowieńskiém, we wsi Japołoti, sami włościanie przyszli do dziedzica i zrobili o czynsz umowę; w Mohylewskiém zabierają się do założenia bibljoteki i czytelni powiatowéj; w Łęczyckiém, około wsi Dz.... zaczęli się kręcić dwaj niemieccy kupcy, ofiarując tak znacznie wyższą cenę, jakiéj nawet dziedzic jéj, szanowny pan Chrz.... nie śmiał byłby oznaczyć. Włościanie, dowiedziawszy się o tém, pobiegli z prośbą do dworu, błagając, aby ich nie wydawano w cudze ręce i nie zostawiano sierotami bez opieki. Prośbę właściwie oceniono i przyjęto, i choć pokusa była dosyć silną i przemawiającą, szanowny p. Chrz... odrzucił ją z pogardą, nie chcąc ziemi ojców naszych i dziadów oddawać w nieprzyjazne dłonie.

Nieprzychylnemu temu wyrażeniu nie dziwcie się, kwestja bowiem nacisku germańskiego na Słowian plemiona, stara to niezmiernie sprawa, o któréj sąsiedzi nasi co chwila starają się przypominać.

Znane wszystkim krzątanie się Lwowian około założenia szkoły, z wykładem w polskim języku; otóż na wszelkie zanoszone z tego powodu prośby, podania, żądania i wymagania odpowiedziano, że młódź polska nie potrzebuje wykładu nauk w tym języku, ponieważ nim mówi w domu i z kolegami: że ucząc się w niemieckiéj mowie, przyswoi sobie całe bogactwo literatury niemieckiéj, a przez to stanie się zdolną do podnoszenia literatury ojczystéj.

W Wągrowcu, w Poznańskiém, księgarz, choć kupiec i Niemiec, jednéj z pań polskich dlatego nie chciał przedać wybranych przez nią przedmio-

tów, że odpowiadała mu nie po niemiecku, tylko po polsku. W samym zaś Poznaniu, nie tylko odmówiono p. Miłaszewskiemu pozwolenia na założenie polskiego teatru, ale nawet dyrektorowi teatru niemieckiego nie dozwolono przedstawień polskich, pragnącemu choć tym sposobem ratować suchoty kieszeni, głodzonéj obojętnością ziomków.

O drobnostkach tych nie wspomniałbym i słowa, ale robię to jedynie na poparcie słów p. Hess, który w dziele swém świeżo wydaném: *Rzym i Jeruzalem,* niezmiernie chwaloném przez całą uczoną krytykę niemiecką, dowodzi, że Niemcy zamiast iść naprzód, nie tylko cofnęli się wstecz, ale stracili zdolność do wszelkiéj zupełnie inicjatywy. Na to zgadzam się bezwarunkowo, myśl bowiem przewodnicząca rozwojowi jakiego społeczeństwa, jest miarą jego wartości i postępu; ile zaś ma ciepła, a raczéj zimna, ta, co Niemcom przewodniczy, zostawiam to uznaniu każdego. Ale mętne to sprawy żywota ludzkiego, serce krzepnie patrząc na niektóre drogi ludzkości....

Z dniem ostatnim upłynionego roku, na Morawie rozpoczęła się tysiącletnia uroczystość głoszenia na ziemi Słowian nauki ewangelicznéj. Wieczorem dnia tego, na całéj Morawie dzwony wszystkich kościołów całogodzinnym jękiem zawiadomiły mieszkańców o rozpoczęciu się téj wiekopomnéj pamiątki, i jednocceśnie w każdéj świątyni odbyło się wieczorne nabożeństwo. Na Welehradzie uroczystość mająca trwać rok cały, największą będzie w dniu 5 Lipca, jako naznaczonym na święto Apostołów Cyryla i Metodego; skończy się zaś z dniem ostatnim Grudnia r. b.

Z Wołynia p. E. Ta.... przysłała nam wiersz ś. p. Wł. Syrokomli, którym przemówił do doktora Pileckiego, przez lat dwadzieścia dyrektora zakładu wód mineralnych w Druskienikach, w czasie obiadu danego na cześć jego w dniu 20 Sierpnia 1859 roku przez publiczność druskiennicką. Wiersz ten jest następujący:

Gdy szczera wdzięczność i przyjaźń życzliwa
Liczném cię gronem dokoła otacza—
Wola obecnych dzisiaj mię przyzywa,
Jako ich uczuć serdecznych tłómacza.

Niechaj się skromność twoja nie obraża,
Że się ten rozgłos czci twojéj udziela;
Wszak wolno chorym czcić imię lekarza,
A przyjaciołom imię przyjaciela.

Oba te wielkie i święte imiona,
Chlubnie nabyłeś, pracując lat tyle,
Bo z jednéj strony ludzkość uzdrowiona,
A z drugiéj wdzięczna za przyjemne chwile.

W osamotnionéj litewskiéj pustyni (*)
Bóg zbawczym wodom kazał trysnąć z ziemi,
I jeszcze łaskę zupełniejszą czyni,
Zacnego człeka stanowiąc nad niemi.

Przezeń rozgłośne nabyła nazwisko,
Zagrała życiem, zakwitła mieścina,
Bo czułém sercem pojął stanowisko
Obywatela i chrześcijanina.

Jeśli schorzałe promieni się czoło,
Pierś bolejąca łagodzi swe jęki;
Jeżeli tutaj ucztujem wesoło—
To owoc pracy, to plon jego ręki!

To jego starań troskliwych dowody,
Że nam na ciele i na duszy zdrowo—
Zbawiennym siłom druskiennickiéj wody,
On swojém sercem nadał siłę nową!

Więc cześć i wdzięczność! za to czém obdarza,
Powszechny toast niechaj mu wypowie:
Wszak pijąc zdrowie naszego lekarza!
Tém samém własne wypijemy zdrowie!

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

—*Kula ziemska,* inaczéj zwana globusem, wielkości dużego jabłka, sprzedaje się u p. Lewickiego Celsa po złp. 13 gr. 10 za sztukę, w pudełeczku ozdobném tekturowém. Używać ją można z wielkim pożytkiem przy opisach: czém jest nasza ziemia, jakie na niéj znajdują się wody i lądy, i jakie wykonywa obroty. Chociaż wydana jest w Norymberdze przez Niemca, jak napis objaśnia, jednak napisy na kuli wszystkie są po polsku. Wprawdzie format jéj jeszcze cokolwiek zamały, ale w braku większéj, i ta może posłużyć do wykładu i objaśnień.

—*Narody zamieszkujące ziemię,* dla włościan i mieszczan, przez Jakóba Wojaka. Autor, p. A. Wiślicki, w przedmowie powiada, iż w dziełkach dla ludu łączyć należy to co bawi z tém, co naucza; a wierny téj zasadzie, opowiada o kuli ziemskiéj, o Ziemi świętéj, o Arabach, Persach, Indjanach, Birmanach, Sjamczykach, Chińczykach, Japończykach i ludach Syberji. Książeczkę tę, jako zajmującą i dobrze napisaną, polecamy, prosząc zarazem autora, aby obok opisów pomieszczał dramatyczne sceny, które najlepiéj bawią i charakteryzują opisywane ludy.

—*Kalendarz ludowy* obrazkowy; gr. 20. Co do części literackiéj zebrany bardzo starannie, ale wy-

(*) Druskienniki, jak wiadomo, położone są w miejscu piaszczystém, na kilka mil rozległém i prawie pustém, bo ledwie na milę i daléj od siebie położoną jest mała jaka wioseczka, gdzie wieśniacy mówią po litewsku i nie rozumieją polskiego języka.

danie jego, w porównaniu z Kalendarzem dla ludu Gazety Rolniczéj, kosztującym złp. 1, jest tak nędzném i niestaranném, że zdaje się, iż już gorszém być nie może. Drzeworytów kilka tylko, i te bardzo liche, papier przebijający, a broszurowanie tak niedbałe, że po pierwszém rozłożeniu książki, kartki się rozłożą.

—*Gwiazdka*, czyli Kolenda na rok 1863, illustrowana, złp. 3 gr. 10; bardzo starannie zebrana, ładny może stanowić podarunek dla podrastającéj płci obojga młodzieży.

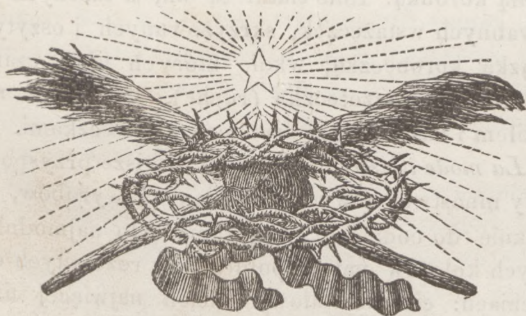
—*Dwadzieścia cztery obrazków* z dziejów polskich, przez Wł. L. Anczyca, złp. 3 gr. 10. Książeczka ta nader ozdobnie wydana, napisana z wielką prostotą, przedstawia w skróceniu całe dzieje Polski aż do jéj upadku. Pracy téj p. Anczyca wszędzie towarzyszy myśl zacna i poczciwa, dlatego radzibyśmy ją zobaczyć w każdéj szkółce, w każdéj wiosce, gdzie tylko nie brak dbałości o podniesienie moralne ludu wiejskiego. Obrazki kolorowane niezmiernie zdobią użyteczne to dziełko.

SZARADA.

Pierwszy służy do spajania,
Drugi wsteczny do śpiewania;
Wszystek służy dla jejmości,
Jako przedmiot kosztowności.

S. T...

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Kordclasy**).



Z powodu zawiązujących się licznie małżeństw, widzimy przygotowywane coraz to nowe wyprawy. Pisaliśmy niedawno o bardzo skromnéj z magazynu panien Kuhnke; dziś powiemy o innéj z tegoż samego magazynu, przygotowanéj dla zamożniejszéj rodziny, a więc odznaczającéj się większą wytwornością.

Z pomiędzy sukien zwróciła uwagę naszą bardzo piękna aksamitna czarna, szeroka, powłóczysta, ogarnirowana u dołu fałdowaną wstążeczką. Stanik wysoki, z podwójnym, rozchodzącym bawetem, spinał się na guziki lawowe. Po za guzikami od góry szła torsadka przerabiana lawą, ciągnęła się wzdłuż przodów, przechodziła przez bawety i zaokrąglała do pleców. Rękawy ścinane od łokcia, otwarte, podszyte biało, ozdobione były u dołu torsadą, u góry zaś epoletem w dwa zęby, przybranym stosownie kwastami.

Druga suknia z ciężkiéj materji, *gros de Paris*, spódnicę miała gładką, powłóczystą, stanik zapięty z przodu na cztery kokardy z ciężkiéj wstążki, takiego samego gatunku jak materja; każda kokarda przepięta była w środku wianeczkiem lawowym. Rękawy wązkie, przybrane u ramienia bufką i dwoma falbankami, kończyły się u ręki obcisłym mankietem i odwróconą do góry falbanką. Wszystkie te falbanki miały wypuszczoną główkę i brzeżek z wązkiéj pasmanterji.

Trzecia suknia mantynowa czarna, przybrana była u dołu wolancikiem z główką, szerokości blizko ćwierćłokciowéj, Zamiast stanika szła koszulka mantynowa, przystająca do figury, założona w trzy zakłady na przodzie. Środkową zakładę zdobiła z obu stron czarna gipiura; dwie boczne były naszyte torsadką z paciorkami z lawy. U szyi zakończał koszulkę marynarski kołnierzyk, ubrany gipiurą i torsadką. Rękawy bufiaste, ułożone były u ramienia w trzy fałdy; na każdym z nich szedł ząb, naszyty gipiurą; u ręki zakończał je wązki mankiecik. Główną ozdobę koszulki stanowił pas z baskiną, zupełnie nowego rodzaju, wycięty z tyłu w trzy zęby tworzące karoczko, z przodu zakończony kokardą bez końców. Z pod karoczka spadały dwie szarfy, objęte gipiurą i torsadką.

Czwarta suknia bareżowa czarna (barège grenadine), miała u dołu pięć wązkich falbanek z główkami, obstębnowanych brzegiem, naszytych w okrągłe zęby czyli festony. Stanik wycięty, przymarszczany, dany był cały na materji, zakończony w górze wszywką koronkową, tworzącą *modestkę*. Rękawy szerokie, otwarte, zarówno podbite materją, ogarnirowane były trzema rzędami falbaneczek. Na wierzch stanika szła chusteczka *Marie Antoinette*, zakończona z tyłu w ząb, krzyżująca się na przodzie i zawrócona znów do tyłu, gdzie się kończyła długiemi szarfami. Chusteczka ta dana na materji, obszyta była wkoło wązką falbaneczką fałdowaną.

Piąta suknia z tkaniny wełnianéj *Venitienne*, miała spódnicę długą z garnirunkiem, złożonym z plisy jedwabnéj i dwóch odwróconych od siebie falbanek, przystębnowanych z obu stron do téjże plisy. Do tego szedł kontusik, odcinany z tyłu i przyfałdowany na trzy kontrafałdy, w około objęty przystębnowaną pliską jedwabną. Rękawy były podwójne: jedne obcisłe do ręki, drugie tworzące wyloty, podbite białą materją. Z przodu na staniku dany był bogaty szamerunek z pletni spiętych

na grube szmuklerskie baryłki. Kieszenie odznaczone z tyłu pletnią, i stosowne wyszycie na wylotach dopełniały przybrania.

O sukni ślubnéj i rannym szlafroczku, dodamy w następnym numerze: dziś powiemy tylko, że te wszystkie suknie odznaczały się prawdziwie dobrym gustem, jak wszystko co wychodzi z roboty panien Kuhnke. Tu wypada uwiadomić nasze czytelniczki, że magazyn ten od Wielkiéj Nocy przenosi się z miejsca gdzie był dotąd, na Nowy-Świat, do domu księży Missjonarzy; pewni jesteśmy, że to małe oddalenie od środka miasta, nie przyniesie żadnego uszczerbku magazynowi, który istniejąc od kilkunastu lat, umiał sobie zjednać powszechne zaufanie.

Wspomniemy dziś jeszcze o ślicznych czepeczkach i ubiorkach na głowę, któreśmy widzieli w magazynie pani Sobolewskiéj. Wszystkie nadzwyczaj lekkie i ładne, odznaczały się przytém bardzo przystępną ceną. Między innemi uważaliśmy ładne czepeczki negliżowe w rodzaju chłopek, czarne z białém, wiązane pod brodę, po złp. 15.

Do strojniejszych należał ubiorek złożony z wałka aksamitnego i diademu z aksamitu i wrzosu; na warkocz spadała długa chusteczka czarna koronkowa, sięgająca prawie do pasa. Cena tego ubiorku złp. 48.

Inny ubiorek w kształcie wieńca, okręcony wkoło białą illuzją, miał nad czołem diadem z powoików białych i czarnych bratków. Z tyłu spadała barbka, przytwierdzona bukietem odpowiednim, otoczonym wkoło czarną koronką.

Śliczny był także wianek otoczony illuzją, ozdobiony diademem z czarnych i białych piórek, przepięty po bokach motylami z czarnéj lawy. Na warkocz spadał mały woalik biały.

Inny znów stroik składał się z wałka okręconego najprzód białą wstążką, a na to lekką pasmanterją czarną w rodzaju siatki. Nad czołem szła rusza z białéj, wystrzyganéj materji, przepięta dwoma puklami z czarnego aksamitu, w środku zaś białém strusiém piórkiem. Na wierzchu głowy za ruszę, wpięta była róża biała z czarnemi listkami. Z tyłu zakończała wałek kokarda biała, pomieszana z aksamitem i czarną pasmanterją. Cena tego ubiorku złp. 48.

Z pomiędzy siatek zwróciła uwagę naszą czarna sznelowa, przepięta wzdłuż czarną koronkową wszywką na białéj wstążce. Nad czołem zdobił ją diadem z czarnéj i białéj koronki, fałdowanéj razem i przepinanéj pukielkami z czarnéj wstążki. Z tyłu spadał karczek koronkowy czarny.

Do mniejszego ubrania ładny był czepeczek biały illuzjowy, przybrany diademem z czarnéj i białéj koronki, wygarnirowany białą blondynką po bokach. Końce do wiązania czarne w białą kratkę, takiż węzeł nad czołem i fanszonik czarny koronkowy w białe gwiazdki, ślicznie dopełniały całości. Cena jego złp. 28.

Drugi czepeczek zupełnie czarny, miał nad czołem diadem z koronki i aksamitnych pukielków. Z wierzchu spadała maleńka chusteczka, naszyta w drabinkę wązką aksamitką, ogarnirowana koronką; z pod chusteczki wychodziła bufa czarna tiulowa, tworząca niby karczek.

Nowości Zagraniczne.

Modes parisiennes. — W magazynie *Lys de la vallée* widzieliśmy wiele bardzo ładnych ubiorków głowy, między któremi niewielkie pufy, prawdziwie dobrze przystrajają młode i ładne osoby, nie dając im téj miny zakazanéj, jaką niekiedy moda ta, niedość zręcznie wykonana, nadaje. Bardzo nam się podobały takie ubranka z drobnych kwiatów, ujętych w muszle aksamitne i podnoszące się na bokach. Ale są pufy rozmaitego rodzaju, jak są czepeczki dla każdego wieku; szczególniéj odznaczają się dobrym gustem z dnem siatkowém z białego haftowanego tiulu, oszyte czarną koronką, i z diademem czarnych kwiatów i pęków czarnych koronkowych wszywek, oszytych z obu stron białą koronką. Inne siatki są tam z czarnych jedwabnych wstążeczek, skrzyżowanych i oszytych wązką koroneczką, wkoło których idzie czarna koronkowa szczoteczka (ruche), wzniesiona nad czołem i nasiana cała drobnemi kwiateczkami.

La mode illustrée.—Fabryki tutejsze przysposobiły mnóstwo nowych, wełnianych wyrobów, na suknie do codziennego ubrania. Do najmodniejszych kolorów należy popielaty w rozmaitych odcieniach: ciemno-stalowy odcień najwięcéj używany.

Pończochy wełniane, białe lub popielate w czarne pasy, powszechnie dają się widzieć na ulicach paryzkich. Zwykle zastosawane bywają do spódniczek. Aby pończochy te nie puszczały w praniu, dodaje się trochę octu do wody.

Wszelkie ubrania na głowę, tak dla panien jak i mężatek, skupiają się po nad czołem, tworząc wysoki diadem.

Między ubiorkami dają się często widzieć czapeczki polskie, obłożone wkoło futerkiem lub puszkiem łabędzim.

Kapelusze ciągle noszą mocno podniesione w górę; lecz osoby znane z prawdziwie dobrego gustu unikają w tym względzie przesady.

O UBIORACH MĘZKICH.

Minęły już, daj Boże niepowrotnie, czasy, kiedy fantazja paryzkiego krawca, przyciąwszy lub przedłużywszy połę u fraka, prawdziwą rewolucję czyniła w garderobie eleganta polskiego. I dziś wprawdzie niejeden półgłówek z westchnieniem spogląda na żurnale paryzkie, ogół jednak spoważniał, i o tyle korzysta z mód zagranicznych, o ile one odpowiadają rzeczywistéj potrzebie i dobrze pojętéj ozdobie. Czy z tém wygodnie, a szczególniéj korzystnie naszym krawcom, wchodzić tu nie myślemy, to wszakże pewna, iż nie mogąc być tylko kopistami, więcéj twórczości wydobyć z siebie muszą, i zastosować się ściśle do miejsca i czasu.

Teraz słówko o praktykujących się u nas ubiorach męzkich. O paltotach pisaliśmy dawniéj; są one powszechnie używane i w kraju nie uległy zmianie. Kamizelki i pantalony zwykle robią się z jednego materjału, mianowicie z kortu ciemnych kolorów w kraty białe duże, lub drobne, pomieszane z nicią czerwoną. Krój pantalonów i kamizelek dotąd się nie zmienił: pantalony są zawsze szerokie, krojem francuzkim, a kamizelki ze średniemi klapami, u góry się wykładającemi, lub zupełnie bez kołnierzy. Na kamizelki pospolicie używają się kaszmiry i plusze jedwabne w białe kraty albo centki; do grubych pantalonów kortowych robią się kamizelki z pluszu naśladującego czarne lub siwe baranki, chociaż dla swéj niepraktyczności wychodzą już z mody. Najpiękniejszy krój kamizelek, tak zwanych *smołki*, jest dosyć obłużny; kamizelki te są jednorzędne, pod samą szyję skrojone, zapinają się na pięknéj szmuklerskiéj roboty potrzeby; robią się zaś z czarnego grubego aksamitu, pluszu lub kortu.

Żakiety, tak do ubrania, jak do codziennego użytku, krają się teraz krótsze jak poprzednio, stan za to nieco dłuższy, kołnierzyk fasonem krótkim.

Jeśli gdzie, to u nas w porze zimowéj najważniejszą częścią ubrania jest futro. Otóż tego roku do najmodniejszych futer należą skonksy czarne, jako ciepłe i lekkie, a więc najwłaściwsze do noszenia w mieście; lecz cena jego, dochodząca tysiąca złotych, czyni go mało komu dostępném. Zawsze jednakiem cieszą się powodzeniem amerykańskie elki męzkie, chociaż trwałość wcale za niemi nie przemawia; słońce i deszcz zarówno im szkodzą, dobre są więc tylko dla tych, co w karetach jeżdżą.

Dobre szopy, niedźwiedzie, a jeszcze lepiéj niedźwiadki, są najwdzięczniejszém futrem, gdyż swéj użyteczności i mocy liczne nam dały dowody. Od niejakiego czasu widzieć się dają szuby futrzane, podbite wyborowemi barankami czarnemi.

W mieście wiele osób nosi paltosaki podszywane małpiem futrem, a klapy, kołnierz i mankiety futrem z wydr polskich. Takie same paltosaki podszywają się bardzo pięknie wyglądającemi kunami polskiemi; do takiego futra wierzch robi się z granatowego sukna, i robi się krojem bekieszy, zapinającéj się z przodu na pętlice.

W kroju bielizny męzkiéj nie zaszły żadne zmiany, lecz za to w coraz większe użycie wchodzą kaftaniki trykotowe i flanelkowe, licznie przez naszych kupców z zagranicy sprowadzane. Nie jesteśmy wprawdzie za tém, aby się u nas zbyt wcześnie do tych delikatnych wymysłów zachodu przyzwyczajać miano; komu jednak ze względów hygienicznych są potrzebne, to przyznać musiemy, iż rzeczywiście bronią od zaziębień, szczególniéj osoby drażliwych nerwów. Kaftaniki takie noszą się nad, lub pod koszulą. Za granicą są one po 2 do 3 rsr.; u nas zaś cena ich w główniejszych sklepach dochodzi złp. 40.

OPIS FIGUR I KAPELUSZY.

Figura 1. Suknia czarna jedwabna z gładkim stanikiem. Rękawy marszczone przy ramieniu, zapięte przy ręku. Kołnierzyk biały z gipiury irlandzkiéj, tak zwany *Impératrice*. Włosy podwyższone nad czołem podkładami przypinanemi, i przepięte grzebykami lawowemi. Z tyłu, kokardy czyli koki z własnych włosów.—Fig. 2. *Gabrjela* rypsowa. Kołnierzyk marynarski. Włosy układane w pukle.—Fig. 3. Suknia rojalinowa z takąż *Garybaldką*. Kołnierzyk webowy haftowany. Grzebień i grzebyki szyldkretowe.—Fig. 4. Suknia czarna fularowa w biały rzucik. Stanik gładki do paska. Rękawy paltotowe. Kołnierzyk muszlinowy. Loki i nioby z własnych włosów. Kokarda nad czołem przyprawna.—Fig. 5. Suknia czarna tybetowa. Kołnierzyk webowy. Nioby odwracane.—Fig. 6. Suknia z czarnego kamlotu, naszyta u dołu na każdym szwie bufą kamlotową z wązką falbaneczką naokoło. Wysokość bufy wynosi dwie i pół ćwierci, szerokość ćwierć łokcia. Stanik gładki. Rękawy zuawskie.—Fig. 7. Kapelusz czarny z rypsu jedwabnego, opasany aksamitem i marszczoną koronką. Na główkę i karczek spada pióro kapłonie. Podpięcie składa się z pióra i blondyny białéj, mieszanéj z czarną.—Fig. 8. Kapelusz aksamitny, ubrany piórami strusiemi. Podpięcie z białéj i czarnéj blondynki fałdowanéj.—Fig. 9. Kapelusz czarny jedwabny, przybrany aksamitem i koronką.—Fig. 10. Kapelusz złożony z aksamitu czarnego, tiulu jedwabnego i białego atłasu. Na wierzchu kapelusza pióra strusie. Podpięcie z blondynki i kwiatów aksamitnych.

OPIS ROBÓT SZYDEŁKOWYCH I KAPELUSZY.

Nr. 1. Kapelusz czarny aksamitny, przybrany z przodu pękiem strusich piór.

Nr. 2. Kapelusz czarny tybetowy. Na zimę dodają się szarfy do wiązania pod brodę, watowane na uszach, jak również w główce woreczek watowany.

Nr. 3. Kamasz dla dziecka od czterech do sześciu lat. Używa się do roboty włóczki cienkiéj, białéj i czarnéj;

drutów stalowych, dosyć grubych. Kamaszyk robi się na drutach, stopka tylko szydełkiem.

Trudno określić, na ile oczek ma być kamasz zaczęty, zależy to bowiem od wieku dziecka i grubości włóczki. Powiemy więc tylko ogólnie, że trzeba go zacząć mniéj więcéj na 50 lub 60 oczek. Najprzód robi się szlaczek na dwóch drutach, po dwa oczka gładko, po dwa dróżką; można tak obrobić najwięcéj 15 razy, następnie robi się zawsze prosto, jak zwyczajną ściągaczkę. Paski białe i czarne obrabiają się po cztery razy każdy. W miejscu gdzie idzie zgięcie na kolano, trzeba oddzielić w środku dziesięć oczek, i te obrabiać, przybierając za każdym razem jedno oczko z tych, które pozostały na bocznych drutach. Jak się zrobi w ten sposób cztery paski czarne, a cztery białe, trzeba zebrać resztę oczek pozostałych na drutach, i znów robić prosto jak podwiązkę, przybierając w miarę potrzeby, aby się kamasz rozszerzył na łydce. Daléj przestaje się przybierać, a zrobiwszy kawałek gładko, zaczyna się gubienie.

Stopkę trzeba robić szydełkiem z grubszéj włóczki. Zaczyna się od boku, to jest od miejsca, gdzie się schodzi kamasz. Obrobiwszy kilka razy prostym łańcuszkowym ściegiem, przejmując przez całe oczko, potrzeba zacząć przybierać na podbiciu. Przybiera się w ten sposób, że w dziewiątém oczku od brzega robi się trzy oczy, i tak powtarza ciągle aż do końca. Kto chce, może przybrać parę oczek na piętę, lecz to nie jest konieczne, gdyż robota rozciąga się sama przez się i przybiera formę według potrzeby. Aby zaokrąglić kamaszyk w palcach, obrabia się parę razy w samym końcu, bez przybierania. Boki obszyć trzeba wstążeczką i dodać w tém miejscu pentelki i guziki. Do stopy przyszywa się kawałek skóry, który idzie pod podeszwę, żeby kamasz równo leżał.

Nr. 4. Trzewiczek dla dziecka od lat dwóch do czterech.—Bierze się włóczka czarna gruba, i biała lub jasnopopielata; szydełko do téj roboty najlepsze kościane.

Robi się najprzód łańcuszek złożony z 11 oczek. W każdym rzędzie następnym, w oczku tworzącém środek trzewiczka, przerabia się trzy oczy. Jeden rząd ma być czarny, drugi biały. Trzeba zajmować szydełkiem przez całe oko, a nie przez połowę. Kiedy się w ten sposób zrobi 23 rzędy, przestaje się przybierać; należy wtedy obrobić gładko 40 rzędów, mniéj więcéj stosownie do wielkości nogi. Potém zszywa się bucik na boku. Podszewka przyrabia się osobno z podwójnéj włóczki, według miary, którą wykroić trzeba z papieru. W górze można bucik obszyć frendzelką, lub też szydełkowym szlaczkiem, który się robi znanym ściegiem, opuszczając zawsze jedno oczko.

Nr. 5. Krawacik na drutach.—Bierze się włóczka biała zefirowa, włóczka wigoniowa biała i popielata.

Krawatka robi się w podłuż tam i napowrót. Trzeba zacząć popielatą wigoniową włóczką, na 250 oczek, i robić zawsze prosto. Najprzód idą dwa rzędy popielate, potém cztery rzędy białą wigoniową włóczką, i znów dwa rzędy popielate. To stanowi pas gęsty. Następnie bierze się włóczka zefirowa biała, i robi w taki sposób:

Rzęd 1. Jedno oczko zdjąć, potém przybrać nitkę na drut, zakręcając ją od środka; dwa następne oczy wziąć razem, i ciągle powtarzać tak samo. W ten sposób robi się sześć drutów; daléj następuje pas gęsty, taki sam, jakiśmy poprzednio opisali. Wszystkich pasów gęstych jest cztery, ażurowych trzy. W końcach ściąga się krawatka z obu stron, i przyszywają się kwasty.

Nr. 6. Ścieg do tegoż szalika.

Nr. 7. Chusteczka na drutach.—Włóczka na nią biała angielska (mousse). Druty do roboty drewniane lub fiszbinowe.

Chusteczka ta, którą można użyć zarówno na szyję lub na głowę, robi się czworograniasto. Złożywszy ją na krzyż, można przymarszczyć środek, i dać w tém miejscu rozetkę szmuklerską. Włóczka ma być wzięta podwójnie. Zaczyna się na 110 oczek bardzo lekko.

Rzęd 1. Pierwsze oczko zdjąć, potém 3 oczy zrobić dróżką; zdjąć te trzy oczy na lewy drut, przeciągnąć wkoło nich nitkę od przodu w tył, przełożyć znów te oczy na prawy drut, przybrać nitkę w powietrzu, i znów trzy oczy dróżką, jak poprzednio.

Rzęd 2. Jedno oczko zdjąć; trzy oczy objęte nitką, w rzędzie przeszłym, zrobić znów dróżką; potém spuścić z lewego druta przybraną wprzód nitkę, przybrać nową i znów trzy oczy dróżką.

Rzęd 3. Robi się tak samo jak pierwszy, z tą różnicą, że się zawsze zrzuca nitkę z lewego druta przed przybraniem.

Rzęd 4, tak samo jak drugi.

Trzeba zrobić wszystkiego 103 rzędy. Rozetkę można ułożyć z frendzelki zrobionéj na deseczkach.

Nr. 8. Ścieg do powyżéj opisanéj chusteczki.

Nr. 9. Szalik męzki (cache-nez).—Bierze się na to włóczka popielata biała i czarna angielska, czyli *mousse*; szydełko tunezyjskie bardzo grube, Nr. 1.

Zacząć potrzeba włóczką popielatą w pięcioro, na 180 oczek bardzo lekkich; zrobiwszy łańcuszek, odwraca się napowrót zwyczajnym ściegiem tunezyjskim. Przyczepia się potém włóczką białą, i robi się rzęd od lewéj do prawéj strony. Następny rzęd robi się także włóczką białą, potém od lewéj do prawéj strony włóczką popielatą; dwa następne rzędy włóczką czarną, dwa dalsze białą, i znowu dwa czarną. Stanowi to brzeg. Potém bierze się szydełko jeszcze grubsze, Nr. 0, i robi się ściegiem gobelinowym, to jest biorąc przez całe oko. Od lewej do prawéj strony trzeba robić tak samo, jak zwyczajnym ściegiem tunezyjskim. Należy uważać, aby brzeg nie szedł ukośno. Kto zna tego rodzaju robotę. potrafi sobie w tém zaradzić. Środek szalika składa się z 26 rzędów, robiony po dwa rzędy włóczką popielatą i czarną na przemiany. Szlak po drugiéj stronie robi się tak jak poprzedni, ściegiem tunezyjskim. W końcach daje się frendzla złożona z kwaśików.

Nr. 10. Ścieg do powyższego szalika.

KORRESPONDENCJA.

Pani Bier...—Rypsu jedwabnego na salopę futrzaną trzeba łokci 18; cena jego od złp. 15 do złp. 22. Kołnierz futrzany ze skonksów kosztuje od złp. 130 do 180; mankiety kupują się osobno po złp. 13 gr. 10. Sprawunki przesłane zostały.— —Pani Ali. Jezier. z Ta...—Za przesyłkę książki należy się nam złp. 3 gr. 26.

Do dzisiajszego numeru dołącza się wzór figur i kapeluszy, oraz wzór robót szydełkowych, Nr. 76.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 3 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 17 Stycznia 1863 roku. *5 Stycznia.*

MROWIN I SIERPCZYN.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.
Lord Byron.

1.

Starodawnéj jeszcze daty,
Twarz koronką otoczona,
Sądzisz: wyszła z ram obrazu,
Co w jadalnéj wisi sali.
W. Pol.

Ach! nie wiele pożądam, jak dziecię,
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.
Syrokomla.

Coraz smutniéj było we dworze mrowińskim, odkąd pan Wincenty Jarosławski do lepszego przeniósł się życia. Dwa lata ubiegły, pierwsza minęła żałoba—ale pozostał się żal na zawsze w sercu wdowy, dwóch córek i matki sędziwéj. A jeszcze z dniem każdym i stosunki majątkowe więcéj zatrważającą przybierały postać. Rodzina Jarosławskich na Jarosławicach, należała kiedyś do wielce zamożnych i mających świetne, historyczne wspomnienia. Pan Wincenty był ostatnim potomkiem tego zaszczyconego w kraju rodu, z którego upadkiem dawniejsza jego świetność skonała. Dwa znaczne klucze i dwa miasteczka przeszły już znacznie odłużone, wśród klęsk krajowych i ofiar szlachetnych, w ręce ojca Wincentego. Majętność upadała coraz więcéj, mnożyły się niedole i ofiary: pan Wincenty ujrzał się zniewolonym oddać całą po ojcach spuściznę, i ocalił tylko mrowińskie dobra, które były matki jego wianem; szczęśliwy wszelako i zaspokojony w duszy, bo to była jedna z tych natur szlachetnych, które ziemska nie nęci mamona. Ożenił się następnie z panną Katarzyną Rotkowską, jedynie-li z miłości, z panną ładną, dobrze wychowaną, z zacnego domu, ale bez posagu. Matka jego, córka kasztelana ostromskiego, w arystokratycznych wzrosła zasadach, zżymała się z początku na ten *mesaliens,* bo piękna Katarzyna i rodu swojego od karmazynów nie wywodziła; ale nawykła podlegać jedynakowi, kochając go i uznając we wszystkiém jego wyższość, nadto, poznawszy i oceniwszy synowę, widząc szczęście domowe syna, pogodziła się rychło z tą *igraszką losu,* jak się wyrażała, dwóch rodów znamienitych, których pan Wincenty ostatnim był przedstawicielem. Zwłaszcza też, gdy dnia jednego, po roku szczęsliwego małżeństwa, przyniósł jéj uszczęśliwiony Wincenty zawiązanego w poduszce ślicznego wnuka.

— Chwała Bogu, że to chłopiątko, a nie dziewczę! — zawołała, dziękczynnie składając dłonie.

Pan Wincenty uśmiechnął się tylko, bo tak dla niego, jako też i dla matki nowonarodzonego, jedno lub drugie zarówno pożądaném było. Babka zaś upatrywała w tym wnuku, któremu imię Janusz nadała, przyszłe odrodzenie się świetnego niegdyś nazwiska, bezwzględnie na niekarmazynowe pochodzenie matki. Bóg wszelako rozrządził inaczéj, i małego Janusza, po dwóch latach, do swojéj zabrał chwały. Żal i boleść były wielkie: rodzice opłakiwali stratę ukochanego dziecięcia, babka, potomka wojewodów i kasztelanów. W rok późniéj urodziła się córka państwu Wincentostwu, któréj babka nadała imię swoje: Anna. W lat osiem znowu przybyła im córeczka, z wielkim żalem babki, która pewną była, że tym razem dziedzica wielkich wspomnień rodowych powiła. Biedna kobieta! Pan Wincenty wszelako i żona jego, z gorącą miłością i to dziewczątko przy swojém utulili sercu.

Wśród tego szczęścia rodzinnego, zaczęły, niestety! finansowe kłopoty zazierać pod strzechę mrowińskiego dworu. Przepadło parę sum dość znacznych; nastało lat kilka nieurodzajnych, wypadły owce—a na domiar złego i sam pan Wincenty chorować począł. Chorował przez lat parę, i wreszcie przedwczesnym zgonem osierocił rodzinę, zostawiwszy ją w złych interesach aż po uszy. Starsza córka, Anna, skończyła wtedy właśnie lat osiemnaście, a młodsza dziesięć.

Tarczę jego herbową strzaskano na grobie, a zbolała matka portrety przodków czarną przysłoniła krepą. Pochyliła się biedna pod ciężarem tego ciosu więcéj, aniżeli pod brzemieniem lat osiemdziesięciu. Bardziéj wszelako złamała boleść sierotę-wdowę: ona nie opłakiwała ostatniego Jarosławskich potomka, lecz małżonka ukochanego, opiekuna swoich sierotek nieletnich, po nad któremi może niepomyślne zawisły losy.

Dość było spojrzéć w przejeździe na dwór i zabudowania, ażeby odrazu nie spostrzedz, że tutaj wszystko dąży ku schyłkowi. Dwór wprawdzie murowany, wielki, ale stary, począł widocznie ulegać zniszczeniu; toż samo i inne budynki. Ogród obszerny, w angielskim urządzony guście, także całkiem niemal zaniedbanym został, bo ogrodnik i robotnicy kosztowali zawiele. Drzewa w nim były piękne, trawniki duże, lecz wszędzie nie dostawało ręki porządkującéj. Bliżéj dworu tylko parę kwietników wiele oko nęciły.

Pani marszałkowa Jarosławska, matka, zajmowała dwa pokoje i gabinecik po lewéj stronie dworu. Pani Wincentowa z córkami mieszkała na prawo. W środku była sala jadalna.

W chwili, w któréj ta powieść się zaczyna, siedziała pani marszałkowa na kanapie w pokoju swoim i drzemała, jak to zwykle po obiedzie bywało.

Pokój był wybity adamaszkiem karmazynowym, dzisiaj już strasznie spłowiałym. I białe gzymsy, które go zdobiły, także śmietankowy kolor przybrały. Pokrowce na ciężkich, staroświeckich, mahoniowych krzesłach i kanapie, z grubéj wzorzystéj tkaniny, również poblakły; a wielkie zwierciadło, wmurowane w ścianę, dowodziło skazami licznemi, że i ono dawne i szczęśliwe pamięta czasy. Na posadzce spaczonéj, rozłożony przed kanapą dywan, lepiéj zachowanemi jaśniał barwami; toż samo i komoda hebanowa, z płytą marmurową, z większą wytrwałością na minione spoglądała lata.

Na ścianach wisiało kilka pięknych portretów: mężczyźni w kontuszach; niewiasty, jedne w kołpaczkach, drugie w upudrowanych fryzurach. Piękny mężczyzna, w białym żupanie a kontuszu czarnym, przedstawiał pana kasztelana ostromskiego, ojca pani marszałkowéj; niewiasta w djademie z pereł, z wielkim przy piersi bukietem, była jéj matka, córka wojewody mohylewskiego.

Na kominku marmoryzowanym dopalał się ogień, bo pora była właśnie jesienna. Po nad kominkiem umieszczone zwierciadło, nieco naprzód pochylone, w ramach metalowych, niemal cały odzwierciadlało pokój; obok stały dwa wielkie, srebrne świeczniki. W drugim pokoju było widać kotarę muszlinową, klęcznik, obraz Matki Bozkiéj, kantorek różném wykładany drzewem i parę foteli, powleczonych zielonym adamaszkiem, mocno już poprzecieranym, bo z pod niego szarawe wyglądało płótno.

Zwolna drzwi otworzono, i weszła panna służąca. Pani marszałkowa się ocknęła.

— A co tam? — zapytała, przecierając oczy.

— Jaśnie pani, przyjechał pan mecenas Gębski.

— Aha!... Podajże mi szal i negliżyk z brabancką koronką. — Powstała z kanapy, wyprostowała się, a była to jeszcze słuszna postać: wysoka, dość dobréj tuszy; rysów wydatnych, nosa rzymskiego, z wystającą nieco dolną wargą: oczów siwych, dumnego wejrzenia, szerokiego czoła, pooranego zmarszczkami, i włosów siwych zupełnie.

Na suknię popielatą, wełnianą, zarzuciła za pomocą panny szal prawdziwy turecki, ale bardzo już znoszony; włożyła czepek z brabancką koronką, która jeszcze wyprawę wojewodzianki mohylewskiéj pamiętała, a znaczyły ją różne naprawki wykonane starannie.

Pani marszałkowa udała się do salonu, w którym pani Wincentowa mecenasa przyjęła. Prawnik ten miał sobie powierzone niemal wszystkie interesa rodziny Jarosławskich.

Salon żółtém wyklejony obiciem, był całkiem familijnemi zawieszony portretami, różnéj wielkości i pędzla różnego. Pokrowce na meblach mahoniowych były z czarnéj włosienicy. Piękne zwierciadła, marmury, pająk szklanny, opuszczony od sufitu; wszystko zarówno, jak w pokoju marszałkowéj, cechę dawności nosiło. Bo też pan Wincenty, żeniąc się, modnie nie meblował domu, ale raczéj żonę w dom matki wprowadził. I tak niemal wszystko pozostało aż dotąd. Nieboszczyk zbytków nie lubił, pragnął zachować choć cząstkę ojcowizny; a żona jego, skromnie wychowana, chętnie się zgadzała na oszczędność wszelką.

Gdy weszła pani marszałkowa, powstał pan mecenas skwapliwie, postąpił ku niéj, głęboko się pokłonił i z uszanowaniem rękę jéj pocałował. Był to mężczyzna lat średnich, wzrostu średniego, szeroki w barkach, dobréj tuszy, okrągłéj, rumianéj twarzy, głowy dużo połysiałéj. Rysy jego pospolite, nigdy żadnéj nie jawiły myśli lub wrażenia: zawsze jeden i ten sam zachowywały wyraz; oczy małe, szare, zwykle trzymał w ziemię utkwione. Miał na sobie frak czarny i kamizelkę szafirową w złote pęczki. Koszulę spiął wielką szpilką brylantową, a błyszczał na niéj i gruby łańcuch złoty od zegarka. Zarostu nie miał żadnego, a resztki włosów starannie muskał. Zielone rękawiczki zwróciły uwagę pani marszałkowéj.

— Jakżeż się mecenas miewa? Zkądżeż bogowie

prowadzą? Proszę siedzieć, — wymówiła, siadając na kanapie, i pociągnęła za sobą wątłą, bladą, zawiędłą, łagodnego wejrzenia synowę.

— Byłem w okolicy, — odrzekł mecenas, przysuwając się z fotelem, — i miałem sobie za powinność złożyć paniom dobrodziejkom hołdy moje uniżone.

— A gdzie był?

— W Żarczynie.

— A! to o granicę tylko. Jakże się tam dziedzic nazywa? Nigdy spamiętać nie mogę.

— Pan Rożniszewski. Nie mieszka tu wcale, i tylko na dni parę zjechał.

— Tak, słyszałam, podobno że w Żarczynie nie masz mieszkania.

— Licha kletka. Dobra kupił zniszczone.

— Grzecznie, że mecenas o nas pamiętał. Bardzośmy wdzięczne.

— A jeszcze powodowało panem mecenasem, że nam ustnie rad swoich chce udzielić! — ozwała się pani Wincentowa Jarosławska.

— Bardzo dobrze! bo zawsze jest lepiéj uradzić coś osobiście, aniżeli listownie: można wszystko szczegółowo rozebrać, ułożyć. Jakież to więc są rady?—zwróciła się pani marszałkowa do synowéj.

Pan mecenas z przedłożeniem ich czekał na mamę.

— Czy nie chodzi o sumę na Kierejach, mecenasie? Może nasi litewscy powinowaci pragną układów.

— Nie, pani marszałkowo dobrodziejko, nic o tém nie wiem. Chodzi tu raczéj o poratowanie Mrowina.

— A! — pani marszałkowa niby drgnęła zlekka, a pani Wincentowa pobladła.

— Tak, — mówiła pierwsza, — potrzeba jakiś środek wynaleść: procenta nieopłacone, raty Towarzystwa kredytowego zaległy.... Wypadnie pożyczkę zaciągnąć, mam téż jeszcze srebra, brylanty....

— Toby nie na wiele się przydało.

— Jakto?

— A jeszcze dług nowy zaciągnąć; to zgubiłoby panie dobrodziejki do reszty.

— Och, pewnie!—westchnęła pani Wincentowa.

— Mam ja inną radę.

— Jakąż to?

— Otóż, pani marszałkowo dobrodziejko,—i mecenas wzrok przybił do spaczonéj posadzki;—zdaniem mojém, potrzebaby, by Towarzystwo kredytowe wystawiło Mrowin na *subhastę*.

— Ach! — zawołała pani Wincentowa, i zacisnęła dłonie z przerażeniem.

— Niechajże to pani dobrodziejki nie trwoży bynajmniéj; — uśmiechnął się prawnik jednym kącikiem ust mięsistych, i błysnął jednėm okiem z ukosa, — bo to właśnie Mrowin ocalić i oczyścić może; panie kupicie go za zniżoną cenę na licytacji.

— Rozumiem, ale....

— Spółlicytantów będzie można usunąć: ustąpią paniom pierwszeństwa.

— Ależ będą ostatni ci, co spadną z hipoteki!— ozwała się pani Wincentowa.

— To i cóż z tego? — zerknął znowu pan Gębski; — albóż to niewszędzie podobnie się dzieje? Przepadną tam wierzytelności dwom ludziom zamożnym, i kwita. To nic nadzwyczajnego: przypadków takich jest pełno. Panie dobrodziejki kupicie na licytacji Mrowin niżéj sumy szacunkowéj, i uratujecie mienie swoje.

— Ale... — chciała się pani Wincentowa z jakimś odezwać skrupułem.

— Czyliż nie w taki sam sposób straciliście państwo 200,000 na Dolatowszczyznie, 50,000 na Zagórnie, a 80,000 na Żabiczynie?

— Och, prawda! Tak, tak! — przywtórzyła pani marszałkowa.

— Przeto i nie ma namyślać się nad czém. Radzę nie zapłacić rat zaległych Towarzystwu kredytowemu, dozwolić, by Mrowin poszedł na subhastę, a potém nabyć go na licytacji i pozbyć się kłopotów.

— Zapewne, bo gdyby i ktoś inny kupił, to i zawsze jakaś spadnie suma, — zauważyła marszałkowa.

— A naturalnie! dobra zniszczone, — wymówił mecenas zniżając głos nieco, niby przez delikatność, — budynki w złym stanie....

— Ale przecież od lat paru dobra w górę poszły? — wtrąciła nieśmiało pani Wincentowa.

— Tak, tam gdzie były nakłady: *forsa* w gospodarstwie, ale.... nie ruina;—stłumił głos znowu.

— Przecież w roli robią dobrze. I zdaje mi się, że możnaby.... to jest, wolałabym gdyby do subhasty nie przyszło.

— Pani dobrodziejko,—uśmiechnął się pan Gębski; — damom zwykle zdaje się inaczéj: wszystko widzą różowo, jasno.... i też interesami nie umieją kierować. Wybacz mi to pani dobrodziejka; — i pocałował ją w rękę.

— Tak, tak, ma słuszność mecenas, rację najzupełniejszą! — zawołała pani marszałkowa. — Jesteś najpoczciwszą pod słońcem kobieciną, moja Kasiu, i rozumną, i kochaną, ale to. co tyczy się interesów, to już raczéj drugim pozostaw.

— Ja radzę szczerze, — ozwał się znowu Gębski, patrząc się w podłogę i obracając pierścień z karniolową pieczątką na palcu.

— Och! ja wierzę panu mecenasowi, trwożę się tylko wszystkiem.... — wymówiła pani Wincentowa zē łzą w oku.

— Gdy pani dobrodziejka, — zwrócił się mecenas ku niéj,—nabędziesz Mrowin na licytacji i spadną sumy, od których potrzeba opłacać procenta, to potrafisz i budynki poratować, stan gospodarstwa podnieść, i dzieciom swoim przyszłość zapewnić.

— To wszystko jest rezyka, a ja lękam się rezyki każdéj, nadto, i....

— No, no, kochanko, daj już temu pokój! Kobieta z ciebie. Idź ot, i każ mecenasowi do herbaty kuraka upiec, małdrzyków zrobić, bo to jest potrawa niemiejska, a kucharz robi je dobrze, grzybków usmażyć, i co tam jeszcze wymyślisz, aby nie był głodny. Już to o takich interesach nie kobiecéj myśléć głowie.

— Zostawiam kochanéj mamie decyzję,—uśmiechnęła się pani Wincentowa cierpliwie, pocałowała matkę w rękę, podjęła klucze z koszyczka i wyszła.

— Rozum i serce dyktuje pani Wincentowéj, że wszystko bystremu i wytrawnemu poglądowi jaśnie pani zostawia. — Skłonił się mecenas z wyrazem pochlebstwa, marszałkowéj, po wyjściu synowéj.

— No, to już i posłuchamy szanownego pana,— wymówiła marszałkowa; — potrzeba się ratować, jak można. A potrwa to zapewne i kilka miesięcy, zanim uregulują się interesa, nie prawdaż?

— Może i rok cały, pani marszałkowo dobrodziejko.

— To długo, bardzo długo, Boże mój kochany!.... A powiem ci, panie, że mi leży na sercu, by przecież wnuczkę dorosłą w świat wprowadzić, zaprezentować ją, jak przynależy. Radabym z nią pojechała na jedną choćby tylko zimę do Warszawy, by ją pokazać w salonach spokrewnionych mi osób, a do tych, jak wiadomo, zaliczamy najpierwsze w kraju damy. Póki wszelako nie utrze się interes z Mrowinem, to i myśléć o tém nie podobna. Dziewczę od lat dwóch już całkiem edukację skończyło, i jest pochwalić się z czém, i powiadam ci, panie, że śliczna.

— Bardzo wierzę, mając zaszczyt znać babkę i matkę. — Mecenas znowu jedném okiem na mówiącą zerknął.

— O! już to prawda, że w rodzie naszym zawsze piękne bywały kobiety. Ma prócz urody — ciągnęła daléj babka, — nasza Anna dużo wykształcona, a przytém i *intelligentna*. Zna języki, historję, literaturę, przytém muzykę, i rysuje bardzo ładnie, robótki różne, a tańczy gdyby anioł. Do tego zaś wszystkiego i synowa moja wychowała ją po swojemu.... czego nie ganię wcale, a raczéj pochwalam, to jest: umié szyć, nawet i ugotować; — uśmiechnęła się pani marszałkowa, — zna się na praniu, i nie leniłaby się do niczego.

— To jest bardzo pięknie.

— I wśród różnych *igraszek losu*, jakie się dzieją, niekiedy i przydatném być może. A pani Wincentowa, pełna zawsze lękliwości, wszystko ma na uwadze. Jedném słowem, że Anna nasza jest *perfekcją*. A jak to syn mój ś. p. pracował nad nią, jak starał się rozwijać jéj umysł!

— Tak, ś. p. pan Wincenty Jarosławski należał do najznamienitszych obywateli.

— Czytywała mu głośno, a on czynił jéj uwagi, pouczał ją.... Boże mój, a nie doczekał się pociechy!... Zacne, kochane dziecko; zawiało ją tam trochę i dzisiejsze *widzi mi się*, już to i syn mój chorował także na te nowe widzenia; no! cóż robić?— i ruszyła ramionami. Widzisz więc, panie mecenasie, że martwi mnie serdecznie to marynowanie tak ładnéj panienki. Sąsiedztwa nawet odpowiedniego nie mamy: *jacyś tam* państwo Żuryńscy, *jacyś* państwo Mąkowiczowie, poczciwi ludziska, aleć to nie jest towarzystwo żadne;—i potrąciła głową.

— O! ja rozumiem, pojmuję, pani marszałkowo dobrodziejko.

— Tę więc zimę będzie jeszcze potrzeba za piecem przesiedzieć.

— Czy panna Anna jest w domu?

— A jest, gdzieżby była?... Cierpiąca trochę od dni parę.... mecenasie, to złote dziecko uczy teraz młodszą siostrę Julkę, bo od świętego Jana już panny *Guillot* nie mamy. Och, to jest bolesno! — i zacisnęła chustką oczy.

— Za to należy się pannie Annie cześć i uwielbienie.

— Ha! dziwnie to losy pomiatają ludźmi. Igraszki! igraszki! Toćże Ludwik Filip był nauczycielem matematyki w Szwajcarji; książę Orleanu za pieniądze na utrzymanie swoje *pędraki* miejskie pouczać musiał!

— To też i późniéj wynagrodziły mu losy te lata trudu i abnegacji koroną francuzką.

— I ten sam los znowu z tronu go zepchnął!... Mecenasie, spojrzyj na te piękne postacie!—i wskazała ręką ściany, zaciskając chustką oczy.

Mecenas zerknął na nią serdecznie, — i spojrzał się na portrety.

— Ten mąż pięknéj postawy, w mundurze obywatelskim, jest zapewne ś. p. pan marszałek?

(d. c. n.)